

leg. 87.

SEN ANTKOWY



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 205

KOBOS TADEUSZ

L.



/184.

WARSZAWA

1920

2297-AT 2280A

181

Hej! Jakowe marsze wiara odbywa...

A jaka gra przy nich muzyka, — to niczem, kiej na Jaśkowem weselu kapela zawodzi..

Armaciska dudnią jak ona basetla, stara niestrojona, — trajkotki kulomiotki, jak owe skrzypeczki zawodzą,... a tu i tam pękające granaciska — to bębenek, w który Maciek niezdarnie uderza i takt jeno — zamiast trzymać — psuje....

Hej! Wiara w płasy idzie!

I miast obcasami, z karabinów hołubce sypie!...

Hej! Wiara! Hej wojaczka! Hej!

Kompanji spocząć nakazali.

Dzień cały szli od świtu przy spiekocie słońca, co zawsze jeno żar sypie czy proszo-

ne, czy nie proszone, i ze śmiechem jednakim
pył korcami w oczy ciska....

Warty rozstawili.

Antek z karabinem w garści stanął, gdzie
mu kazali.

Patrzeć ma zali wróg bolszewik, jak gad
plugawy nie podpełźnie...

W kompanji chodzenie, gwar—jak w ulu...

Każdy chleba kawał zakąsa świeżą sper-
ką taką smakowitą, że niczem pańskie wyszu-
kane frykasy!

Coraz ciszej w kompanji.

Ten i ów do matki-ziemi tuli głowę umę-
czoną i sen, co z niebios zlatuje maluszkami,
oczom niewidnemi skrzydłami kołysze... koły-
sze... wiarę...

Antek stoi.

Choć nogi się chwieją — to na jednej, na
drugiej się wesprze — i stoi.

Bo kapral stać kazali i patrzeć.

Przed nim, jak okiem sięgnąć — równi-
na i równina...

Szara, ciemna dal zakrywa ją przed ciekawem spojrzeniem Antkowem, a cień ze mgłą wieczorną zbratany, coraz bardziej otula tę dal niezmierzoną.

Drzewa rzadko rozsiane w masy jakoweś się zmieniają. Wierzchołki ich rosną, rosną, a niektóre i chmur sięgają—takie wielgaśne potworne...

I zda się Antkowi, że kilka topoli, co opodal przy drodze stały dźwignęły się z ziemi, wyciągły z niej swe korzeniska twarde i o mgłę wsparte iść zaczęły... I w drodze lekkość snadź poczuły, bo wznoszą się, wznoszą..., nad mgłą górują... już tylko czasem Antek je dojrzy... coraz słabiej, słabiej... i chyba ku niebu uleciały, bo znikły...

I nie już Antek nie widzi.

Choć oczy zmęczone przeciera.

Choć patrzy, patrzy — i w te oczy swoje w tę dal ciemną — całą duszę kładzie, nie widzi nic jeno ciemnicę...

Gwiazdy tylko na niebie jakowaś ręka, której Antek dojrzeć nie może zapala.

I jarzą się te gwiazdy maluskie, migocą i mrużą oczy Antkowe...

A hen gdzieś z oddali z jakowegoś strumyka ukrytego, czy jeziorka żaby zawodzą wieczorne pacierze.—A może radują się ze spokoju nocy i wiedą rozhowory? A może weselisko wyprawiają, lub granie wojskowe? czy Antek wie?

Dość że grają, rechocą, kiej w jego wiosce Antkowej...

Nogi takie ciężkie, a ziemia twarda je ugniata.

Oj ulżyć tym nogom strudzonym. Choćby raz wyprostować, lekko spocząć.

Wsparł się o wierzbę, przy której stał, wyciągnął jedną nogę, westchnął z jakąś ulgą wyciągnął drugą...

Osunął się na ziemię, Obejrzał, zali kapral nie idą, przywarł do kory wierzbowej, która zdała mu się najmniejszą pod słońcem pierzyną.

Raz jeszcze całą siłą wyteżył oczy swoje w dal...

Żaby rechocą... rechocą... Tak zawodzą..., śpiewają chórem—jak w wiosce Antkowej tam hen... daleko... tam.....

W kominie ogień skrzy.

Trzaskają świerkowe gałązki.

Iskra pryśnie, wyleci na izbę, zatli momentik i zgaśnie.

W garnkach huczy, kotłuje się woda, pokrywę unosi, warczy, gniewa...

A z pod pokrywy spoziera bielutki ziemniak, i aż bestyja łechce zapachem i śmieje się białem ślepiem...

Macierz krząta się wedle komina. to do garnków zajrzy, to klusków przysypie.

To drzwiczki pieca odchyli, a z nich płomień buchnie i dym gryzący po izbie się rozejdzie... podłoży nowych badyli, gałązek...

Antek z pola wrócił, usiadł na ławie i patrzy na macierz jak wieczorz gotują.

W tygielku słonina żółciuska się smaży woń taka miła po izbie się rozchodzi... smaczna wieczerza będzie.

Boć i napracował się Antek.

Dzień cały żał zboże na polu. A spiekota dokuczyła, sił trochę zabrała...

Przed izbą na progu dzieciska się bawią; kamyczki kładą, to je podrzuca, to znów ułożą.

Zagraj jak sędzia, przysiadł na zadzie, ogon puszysty wyciągnął i śledzi dziecinną zabawę. Łbem przechylił to w jedną, to w drugą stronę, zapatrzone w ruchy rąk dziecięcych.

Ojciec konia na podwórzu wypręga, do wody prowadzi, skrzypi żóraw stary, dźwiga wiadro z wodą, które się chwieje i pryska na stronę.

Z obórki, gdzie mieszkanie miłej Krasuli Jagna wychodzi i niesie skopiec pełen mleka, a taką pianą białąską pokryte, jakby kto garść śniegu do skopca przyrzucił.

Na podwórzu gwar ptactwa Jagnę otoczył. Kury biegną gdacząc i piszcząc, kaczyska na chwiejnych nogach dźwigając kadłuby, dzioby wyciągają i skrzeczą, gęsi śmielszej natury zapaskę Jagniną poszczypują.

I śmieje się Jagna rozkoszna, sięgnie, garść ziarna natrętom rzuci.

Dopieroż rejwach! kłótnia!

Cała pierzasta holota ciska się na łup przez Jagnę rzucony! Przewraca się, gramoli, dziobami pracuje...

Czy burza się zbliża?

Jakowys pomruk niewyraźny, daleki.

Choć słońce cudnie zachodzi, a na niebie
chmurki nijakiej niewidać, coś huczy, coś wy-
je nieuchwytnie, zdala...

Jakby wichry o drzewa korony uderzał...
a drzewa spokojne, nieruchome...

Zagraj jeno uszami strzyże...

Już dzieci nie śledzi, jeno niespokojnie
wokół spoziera...

Słepia krwią mu zaszyły. To mruknie... za-
warczy...

Z obory Krasula porykuje...

Ptactwo po dziedzińcu się rozbiegło, do
kłód drzewnych przywarło.

Antek z ojcem wybiegli na drogę — ni-
czego nie widać, jeno z zagród ludziska wy-
legli patrzą ku niebu, to na drogę w jedną
i drugą stronę.

Na twarzach ich niepokój i troska się
maluje.

Jakowaś groza zawisła przed czemś nie-
znanem, niewidomem, a strasznem...

Lęk w powietrzu!

A z łękiem wraz pomruk wyraźniejszy?...

Słońce za góry już dawno się skryło, je-
no różowi zachód swą królewską purpurą...

A na przeciw — nowa purpura ku niebu
się wznosi...

Okrwawia horyzont!...

„Łuna! Łuna!...” zawodzą ludziska!...

Ten i ów biegać chce z pomocą za las,
skąd łuna pożarna.

Ale gwar i wrzawa wyraźniejsza, sil-
niejsza!...

Grom wplótł się we wrzawę!... drugi,
trzeci... dziesiąty!...

Jakby kto groch rozcisnął po nieba skle-
pieniu!...

Lament. Krzyk po wiosce się rozszedł.

Kobiety przerażone chwytają dzieci.

Mężczyźni starzy i młodzi stoją bezradni,
patrzac wzrokiem osłupiałym przed siebie na
drogę...

Wrzawa nadciągającej, tajemniczej burzy
coraz silniejsza...

Na koniu spienionym wpada w gromadę
ludzką parobek:

„Bolszewicy od lasu chmurą wala!”

Jak grom, gdy w dąb potężny uderzy,
roztrzaska jego drzewo mocarne na strzępy,—
tak wieść ta rozprysła gromadę!

Każdy do chaty swej bieży!

Każdy wśród krzyku i lęku chwyta co
może!...

Niemowlęta z kołyszek matki porywają,
z komory, ze szkatuł, co jeno droższego —
i przed siebie za wieś! byle dalej... byle prędzej!...

A chudobę całą, chałupy, koniska, krowy
na łup wrogowi,—byle z życiem uciec w świat
daleko... przed siebie!...

Bo wróg nie pyta!

Morduje! niszczy! pali! i wśród krwi
i ognia piekielne wyprawia wesela!...

Antek wbiegł na podwórze, chwycił ja-
koweś żelaztwo, za zagrodę pędzi w stronę lasu!

Na wroga!...

Zginie — to i zginie! Ale posoki trochę
uleje temu plugastwu, co jego nachodzi Oj-
cowiznę!...

Ej!... Chyba las cały się ruszył i hen
ku niemu wali!...

Wielkie świerczyska idą ku wiosce, —
czy co?...

Ani okiem objąć!...

Aj, nie świerczyska to stare, kochane...
Nie las to idzie ku wiosce, ku Antkowej...

Jeno czerni olbrzymia, nieprzebrana masa...

Czerwonerubachypokryły pola i las za wsią.

Wycia okrutne, szatańskie wszędy, że
i gromów, co sieją z luf spiżowych nie sły-
chać — jeno błysków miliony widać ognistych...

Antek krzepko dzierży żelazo, zamarty
w grozie!...

Zginie — to wie! powalą go, stratuja lecz
on się nie cofnie!! I śmignie między ślepia po
łbach żelaztwem!!...

Już dopadają!!...

Już słyszy wyraźny ich krzyk! dziki
piekielny!

Już widzi ślepia okrutne, krwawe, sza-
tańskie!...

Serce Antkowi bić przestaje.

Zmierzył się żelazem, by cios zadać i zgi-
nać na ziemi swojej, Ojczystej, ukochanej...

Ze swego ciała usłać choć zaporę maleń-

ką, kruchą, nędzną — w obronie ziemiцы przed wrogiem okrutnym...

Stoi i czeka z oddechem zapartym!...

I czemu tłuszcza ta wstrętna się nie zbliża?...

Konie wstrzymują...

Wycie coraz bardziej milknie...

Gromy cichną...

W szeregach zgiełk, popłoch...

Tłum szaleński cofa się!...

Czemu?

Czy lęk ich ogarnął?

Może cofają się, by nabrać rozpędu i z większą siłą na wioskę małą uderzyć, by przejść przez nią, strącać ją końskimi kopytami, w ziemię wkopać wraz z chałupami, ludźmi, dobytkiem...

Czemu się cofają?...

Jakiś zgiełk, przerażenie...

Fale czerni topnieją... maleją... nikną... niby mgła poranna, która pod słońca promieniami jasnymi rozwiewa się i ginie...

• Jak nikczemność przed prawdą...

I zdumiał się Antek...

Żelazo ciężkie opuszcza...

Spojrzy za siebie... A przy nim w siwym skromnym mundurze, i w czapce siwej z orzełkiem — stoi Wódz jego umiłowany, ukochany!...

„Naczelniku“! wrzasnął Antek i do stóp przypadł komendanta.

„Synu, strzeż mych dzieł“...

„Rozkaz Naczelniku“!...

.

Poranna mgła zaścielała płaszczyznę...

Antek zerwał się z pod wierzby; przetarł oczy zaspane... a w uszach wciąż dzwoniły mu słowa Naczelnika...

„Rozkaz Naczelniku“ powtórzył i silniej ścisnął karabin...



Cena **2** Mk.

Druk. L. Bruś, Warszawa, Nowy - Świat 66.

ODBITO STARANIEM STOW. WŁAŚ-
CICIELI ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH.